

W drodze do Dachau

Po aresztowaniu, gdy mnie ciupasem transportowano do obozu koncentracyjnego w Dachau, podróż przedstawiała się w ten sposób, że w dzień wieziono nas wagonem więziennym, a wieczorem dowożono do jakiegoś miasta i tam na noc lokowano w więzieniach. Czasem zaraz następnego dnia odsyłano nas dalej, a było i tak, że w jakimś więzieniu siedziałem kilka, a nawet kilkanaście dni, zanim odesłano mnie na następny etap. Towarzyszami w drodze byli przeważnie kryminaliści niemieccy, których przewożono do innych więzień lub na rozprawy. Nie mogłem się w tym zorientować dokładnie, bo wcale nie znałem niemieckiej mowy. Z mową niemiecką to u mnie był ciekawy problem. Po prostu nie chciałem się jej uczyć. Miałem do niej wstręt i przez pięć lat obozu nauczyłem się tylko tyle, ile mi na siłę wcisnęli do głowy ciągłym powtarzaniem.

Zaznaczyć muszę, że w czasie gdy już mnie Niemcy wzięli na przechowanie – poszukiwany byłem za posiadanie broni – nie miałem jeszcze dwudziestu dwóch lat (urodziłem się szóstego maja 1918 roku), a wyszedłem z obozu w dzień swych urodzin, kończąc lat dwadzieścia siedem.

Droga do obozu przeszła względnie spokojnie. Nie bili mnie, jeść

dawali tyle co i innym więźniom, paskudne tylko były przejścia z pociągu do więzienia i z więzienia do pociągu. Łączono nas wtedy za ręce kajdankami po kilku i pod silną eskortą prowadzono jezdnią przy samym chodniku. Przy ustawianiu się do przemarszu trzeba było się zdecydować, gdzie się ustawić. Jeśli się stanęło w pierwszej linii przy chodniku, to wtedy kajdanki założone były tylko na jedną rękę, druga natomiast była wolna i tą ręką można było zbierać z brzegu chodnika i z jezdni tuż przy chodniku niedopałki papierosów, które w więzieniu można było wymienić na jedzenie albo inne drobiazgi. Przy zbieraniu można było od wartownika oberwać kopniaka albo kolbą karabinu za podnoszenie niedopałków, ale warto było ryzykować. To była ta dobra strona maszerowania przy chodniku. Złą stroną natomiast była ludność cywilna, a szczególnie baby i dzieciaki, które prawie zawsze wymyślały nam, pluły na nas i rzucały w nas różnymi odpadkami, kamieniami i wszelkim świństwem, jakie im wpadło w ręce. To już lepiej mieli się ci, którzy szli od strony jezdni.

Na jednym etapie w pociągu jechałem w jednym przedziale z Jugosłowianinem, pamiętam, że na imię miał Paweł; odstawiali go do granicy ciupasem jako uciążliwego cudzoziemca. Twierdził on, że nic mu nie udowodniono, a odsyłają go dlatego, że żyje na wysokiej stopie, a nigdzie nie pracuje. Z jego opowiadań wynikało, że jest to niebieski ptak i szuler. Potrafiliśmy się doskonale porozumieć i po całym dniu jazdy uczył mnie już techniki szulerki i kantowania ludzi głupich i naiwnych. Twierdził, że jego szpakowate na skroniach włosy są sztucznie robione dlatego, że taki szpakowaty pan wzbudza w otoczeniu większe zaufanie. Umówiliśmy się, że jeśli mi się uda uciec albo zostanie zwolniony, to mam zapamiętać jego adres i przyjechać do niego do Jugosławii. Oceniał mnie jako chłopaka sprytnego, którego łatwo będzie nauczyć wszystkich sztuczek, i wtedy będziemy kręcili w życiu razem. Na następnym etapie rozdzielono nas i już więcej go nie widziałem.

Innym pasażerem w naszej klitce w więziennym wagonie był facet w wieku lat trzydziestu. Ponieważ dobrze mówił po polsku, byłem pewny, że to jest Polak. Gdy między etapami spędzaliśmy noc w więzieniu, wieczorem rozmawialiśmy w trzech, spacerując po olbrzymiej celi, która była całą przejściową.

Będąc pewien, że drugi mój towarzysz jest Polakiem, z ciekawości zapytałem go, z jakich stron pochodzi. Na pytanie to otrzymałem odpowiedź:

– Z tych, które żeście zabrali.

Nie rozumiałem, więc pytam jeszcze raz. Odpowiedział mi z drwiną w głosie:

– Z Zaolzia. – A zwracając się do Jugosłowianina, powiedział: – Czy ty wiesz, co te kurwy wyprawiali, jak tam przyszli? – i tu postąpił pod adresem Polaków kilka lepszych wiązanek „słupów telegraficznych”.

Mimo młodego wieku byłem już na tyle świadomy politycznie, że na zajęcie Zaolzia patrzyłem z odrazą, jak patrzyłbym na hienę, która zdradliwie uchwyci ochłap z padliny zwierza, zamordowanego przez innego. Mimo to „wiązanka” przesłana **nie pod adresem naszego byłego rządu, lecz pod adresem wszystkich Polaków dotknęła mocno moje uczucia narodowe, lecz nie powiedziałem nic, tylko w duszy zakiełkowała myśl oddać mu to w jakiś sposób, przy najbliższej okazji. Przynajmniej w pewnym stopniu rację, a to w zagadnieniu samego zajęcia Zaolzia, może szybko zapomnielibym o chęci odegrania się, gdyby okazja do tego nie trafiła się tak szybko. W kilka minut po tej rozmowie podszedł on do mnie z pytaniem: – Masz co zapalić? – i bezczelnie wsadził mi rękę do kieszeni marynarki, w której trzymałem niedopałki zbierane w czasie przemarszów. Zanim zdążył mi coś z kieszeni wyjąć, dostał taką bombę w nos, że go wyrzuciło na środek celi.**

– Ty padalcu – powiedziałem mu jeszcze – tylko nie z ręką do cudzej kieszeni! Jak chcesz zapalić, to poproś.

Ale ja miałem i mam taką dziwną naturę, że nie potrafię uderzyć słabszego od siebie, a jeśli już uderzyłem, to dlatego, że przeceniałem siły przeciwnika, myśląc, że jest silniejszy i odważniejszy. Tak było i w tym przypadku. Chłop był cwaniakowaty i byłem pewien, że uderzeniem sprowokuję go do awantury, a wtedy wygrany będzie sprytniejszy i silniejszy. Ten jednak nie ruszył się więcej do mnie, tylko stanął pod ścianą i trzymał się za uderzone miejsce.

Po półgodzinie podszedłem do niego, dałem mu zapalić i wtedy dopiero dowiedział się, za co faktycznie dostał, mimo że za włożenie mi ręki do kieszeni też mu się trochę należało.

Incydent ten zbliżył nas do siebie i już dalszą drogę, aż do czasu gdy nas rozdzielili, odbyliśmy w naprawdę serdecznej i koleżeńskiej atmosferze.

W jednym małym prowincjonalnym więzieniu – a może to nawet nie było więzienie, tylko jakiś większy areszt – kilka dni siedziałem w celi sam. Nudziło mi się diabelnie. Po celi łąziłem jak dzikie zwierzę w klatce. Okno w celi było normalnym oknem mieszkaniowym, otwieranym do wewnątrz, z tą tylko różnicą, że szyby w nim były matowe, a dopiero za oknem były kraty. Często słyszałem, że za oknem rozmawiają ludzie, a czasem były to młode, wesole głosy. U mnie w celi był niemożliwy fetor wydobywający się z kibla, z którego pozwalano mi wylewać tylko jeden raz dziennie, a w celi było nieznośnie gorąco od centralnego ogrzewania i kibel na dodatek nie miał żadnego przykrycia.

Przy wprowadzaniu mnie do celi dozorca zastrzegł surowo – odpowiednią gestykulacją, inaczej i tak bym go nie zrozumiał – że nie wolno mi otwierać okna, bo zamkną mnie w ciemnicy. No cóż, myślę sobie, ciemnica też dla ludzi, a spróbować można. Otworzyłem. Zdążyłem tylko zauważyć, że za oknem jest park – ludzi w nim o tej porze nie widziałem – a tu już się drzwi celi otwierają i dozorca coś drze się do mnie.

Zrozumiałe, że okno od razu zamknąłem. Po wyjściu dozorca – gdy już się dobrze nakrzyczał – zacząłem zastanawiać się, czy jego przyjście było przypadkowe, czy też w jakiś pojęty czy też niepojęty sposób wiedział, że ja okno otwieram. Żeby się o tym przekonać, postanowiłem okno otworzyć jeszcze raz. Otworzyłem. I znów za chwilę słyszę, jak klawisz już jest za drzwiami i syczy się do otwierania.

Zanim zdążył otworzyć drzwi, już okno było zamknięte, ten jednakże rozdarł na mnie twarz jeszcze bardziej, pokazywał na okno, dawał mi do zrozumienia przy pomocy gestykulacji, jak to będzie mi przyjemnie w ciemnicy – i poszedł. Teraz już byłem pewien, że przy oknie jest sygnalizacja alarmowa, która działa przy jego otwarciu **i dozorca, choćby był najlepszym człowiekiem, nie wytrzyma długo, gdy mu dzwonek będzie dzwonił bez przerwy, i choćby dla własnego spokoju musi dbać, by okno w celi było dokładnie zamknięte. Żeby dziadka nie denerwować dzwonieniem, a samemu mieć czyste powietrze, postanowiłem szukać i jeśli mi się uda, wyłączyć instalację alarmową.** Przeczucia mnie nie omyliły. Oglądając wkoło ramę okienną, zobaczyłem małe szpindłe wystające z futryny i łączące się z połówkami okna.

Ponieważ do wojny pracowałem w zawodzie elektromechanika, wiedziałem, jak przeciąga się przewody. Wiedziałem, że muszą one wychodzić za drzwi i że prowadzi się je najkrótszą drogą. Z tej strony okna, po której spodziewałem się, że przebiegają przewody, zacząłem dłubać ostrożnie w ścianie jednym z kawałków żyłki, które z przyzwyczajenia zawsze nosiłem w kieszeni w spodniach, w tej, w której nosi się zegarek, i dlatego nie znaleziono ich przy żadnej rewizji.

Dłubałem w ścianie ostrożnie, żeby nożyka nie połamać, i w pewnym momencie patrzę – jest w ścianie drucik. Oddrapując go wkoło, zrobiłem taki otwór, że mogłem już sięgnąć drutu palcem. Pomaleńku odciągnąłem go i przerwałem. Miejsca przerwania zaizolowałem kawałeczkami papieru, który znalazłem w sienniku. Otwór zalepiłem zgryzionym chle-

bem. Palcem smarowałem po ścianie i białym pyłem, który mi zostawał na palcu, smarowałem miejsce zalepione chlebem. Gdy już zrobiłem wszystko, otworzyłem okno i... nikt nie przyszedł. Od tej chwili przez te kilka dni, przez które jeszcze tam siedziałem, codziennie otwierałem sobie okno i przyglądałem się ludziom, a w nocy, jeśli nie mogłem spać, patrzyłem na drzewa, śnieg i gwiazdy na niebie. W ciągu dnia słuchałem tylko pilnie, czy nie zbliżają się kroki do mojej celi, lecz nawet wtedy, gdy dozorca wkładał już klucz do zamka, zdążyłem zawsze zamknąć okno. Dziwi mnie tylko, że nie zwrócił on uwagi na zmianę powietrza w celi, z ciężkiego i popsutego na czyste, świeże. Może i widział różnicę, lecz dzwonek mu przecież nie dzwonił na alarm, a pewien był, że przez te kilka dni pobytu z więzienia nie ucieknę.

Po kilku dniach pobytu w tym więzieniu pożegnałem się z parkiem i otwieranym oknem, bo pewnego dnia połączono mnie łańcuszkiem z kilkoma innymi i zaprowadzono na dworzec.

Następny pobyt w więzieniu trwał prawie dwa tygodnie. Gdy tylko odprowadzono nas z dworca do więzienia, ze słów dozorców rozmawiających ze sobą rozumiałem, że jest w więzieniu jeden Polak i że mnie chcą dać do niego, żeby nam się nie nudziło.

Współlokator celi, Władysław Kowalczyk, był to chłopak lat dwudziestu, który zamknięty został za jakieś zbytki robione u chłopca, u którego pracował. Z opowiadań jego wynikało, że pochodzi on spod Zduńskiej Woli, że pracował tam we dworze przy koniach, a na roboty do Niemiec przyjechał na ochotnika i obecnie matka jego też ma tam przyjechać.

Marzeniem jego było być jeszcze kiedy w życiu stangretem i rozwodził się długo i szeroko o pięknym życiu stangreta.

Żeby nam się nie nudziło w ciągu dnia, dostawaliśmy do roboty papierowe torebki, których musieliśmy wykonać codziennie pewną określoną ilość. Władziowi w żaden sposób robota ta nie szła. W rezultacie ja robiłem torebki za siebie i za niego, a on codziennie sprzątał celę

i wynosił kibel. W ten sposób przeżyliśmy spokojnie kilka dni. W ciągu dnia, robiąc torebki, opowiadaliśmy sobie różne przygody z życia – ja opowiadałem o pracy w fabryce i życiu na Czerniakowie, on znów o życiu jaśnie państwa i ludzi pracujących we dworze. Często w opowiadaniach swoich poruszał temat, jak to w Łodzi i w okolicach Łodzi biło się Niemców przed wojną. Opowiadał o napadach na lokale niemieckie, na szkoły niemieckie i temu podobne historie. Odpowiadałem mu, że to są głupstwa i bajki niemieckiej propagandy i że ja w to bicie nie wierzę, bo sam często jeździłem w okolice Lublina, a tam były nawet całe wsie kolonistów niemieckich i nigdy nie słyszałem, żeby ktoś został pobity tylko dlatego, że jest Niemcem.

Jednego dnia, gdy jak zwykle robiliśmy torebki i rozmawialiśmy na temat życia i egzystencji, powiedział, że jemu to właściwie jest wszystko jedno, kto będzie w Polsce rządził – Polacy, Niemcy, Angli czy Żydzi – aby tylko jemu było dobrze. Reszta go nic nie obchodzi. Trochę ze złością odpowiedziałem mu na to, że takich głupich jak on w Polsce mieliśmy więcej i dlatego Polska zginęła. On na to znów zaczął mi w idiotyczny sposób udowadniać słuszność swojego twierdzenia. Tłumaczyłem mu jak pastuch krowie na granicy, że nie ma racji, a on jakby celowo, widząc, że coraz bardziej się denerwuję, jeszcze większe głupstwa zaczyna gadać. W końcu zaczyna mocno chwalić Niemców – jacy to oni gospodarze, jak to oni potrafili z Żydami zrobić u siebie porządek i jak to teraz w Polsce ład i porządek zaprowadzą. Pomyślałem sobie, że Władzio to wariat, idiota i wszystkie inne choroby umysłowe do kupy. W końcu, gdy już naprawdę nie mogłem wytrzymać tego gadania, uczciwie go ostrzegłem, żeby zamknął twarz, bo go stuknę i wtedy dopiero zamknie.

Lecz on gada dalej: „No bo Niemcy...” – i już nie dokończył, bo zleciał ze stołka, uderzony pięścią między oczy. Stuknąłem go nieźle, bo po kilku minutach już ledwie na oczy widział, tak mu spuchły.

Jak dostał między oczy i spadł na podłogę, podniósł się i do dzwonka. Za chwilę do celi wchodzi dozorca – młody jeszcze chłop – i pyta, co się stało. Słucham i wtedy dla odmiany ja zgłupiałem.

Kowalczyk trajkocze mu szybko – po niemiecku. Z poszczególnych słów, które już rozumiałem, złapałem sens tego, co mówił. Wyglądało to tak, że on chwalił czy też trzymał stronę Niemców i ja go za to pobijem.

Dozorca naparł na mnie z wielkim kluczem od cel w rękę, a ja cofałem się tyłem, myśląc, że ten nieźle mnie teraz przetrąci kluczem. Nie uderzył mnie, tylko gdy już mnie doparł do stołka, powiedział:

– Siadaj.

No cóż – usiadłem.

Gdy tylko dozorca opuścił celę, Kowalczyk dopiero rozpuścił buzię:

– Co? Żeby mnie Polak w mordę uderzył? To ty nie wiedziałeś, dlaczego ja tak broniłem Niemców? To ty nie wiedziałeś, dlaczego ja ci opowiadałem o biciu Niemców w Polsce? To jest moja krew! To są moi bracia! Moja matka jest Niemką. A ja nie wiem, czy ten, który mi dał nazwisko, jest moim ojcem. Moja matka jest Niemką i ja się czuję Niemcem! To jest moja krew! To są moi bracia! Żeby mnie Polak w mordę uderzył?

I tak wciąż w kółko i w kółko. Z początku trochę wystraszony, żeby nie oberwać od dozorca, siedziałem cicho i nic się nie odzywałem, tylko cieszyłem się w duchu, patrząc, jak mu pięknie puchną oczy i przybierają taki ładny, fioletowy odcień.

Wreszcie znów nie wytrzymałem i mówię mu:

– To z ciebie ładny ptaszek. Czekać – jak się kiedy spotkamy na wolności, to ci gardło poderżnę.

– Na pewno się nie spotkamy – odpowiedział.

– Tak? No to czekaj, bydlaku. Jeszcze dzisiaj w nocy cię uduszę. Jak pragnę Boga. Zobaczysz. Dzisiaj w nocy uduszę cię, żeby takie bydlę po świecie nie chodziło.

Miałem go zamiar w nocy solidnie nastraszyć, ale musiałem mieć wygląd stanowczy, bo ten drań ponownie skoczył do dzwonka i dzwonił. Za chwilę już był dozorca i znów zrozumiałem, że on nie chce być ze mną w jednej celi, bo ja powiedziałem, że go w nocy uduszę.

Dozorca podchodzi bliżej mnie i pyta:

– Tak?

– Tak – odpowiadam.

Pyta drugi raz:

– Tak?

– Tak – mówię mu znów.

Ten widocznie myślał, że ja go nie rozumiem, bo biorąc się rękami za gardło, jeszcze raz pyta. Wtedy z wielkim zapałem odpowiedziałem mu aż trzy razy:

– Tak, tak, tak!

Dozorca uśmiechnął się tylko i wyszedł, po dwudziestu minutach przyszedł i zabrał Kowalczyka do innej celi. Dwa dni jeszcze siedziałem w celi sam, medytując nad tym przypadkiem, i myślałem o tym, że jeśli i jego przywiozą do Dachau, to już ja będę się starał zapłacić mu jakoś za jego „polskość”.

Będąc już w Dachau, do końca swego tam pobytu rozglądałem się, czy gdzie tego kołka nie zobaczę, a w roku 1947, gdy byłem kilka miesięcy w Łodzi, kręciłem się i wypytywałem ludzi, chcąc go koniecznie odszukać, ale nie udało mi się.

Na następnym etapie miałem maleńką przygodę, lecz w zupełnie innym stylu.

W wagonie więziennym jechałem w jednej celi z Niemcem – Willi miał na imię – który po odbyciu wyroku za przestępstwa pospolite jechał na dalszy pobyt do obozu. Razem byliśmy w Dachau, w Maut-hausen i w Gusen i nieraz przypominaliśmy sobie tę historię i zastanawialiśmy się, co by było, gdybyśmy wówczas wykonali swój zamiar.

Gdy wieczorem wagon więzienny rozładowano, rozdzielono nas na kilka grup. Jedne grupy pojechały samochodami, inne rozprawdowano w różnych kierunkach. Ja byłem w grupie ośmiu osób, w której był również Willi. Transport odbył się jak zwykle – w kajdankach, jezdnią, a ja z brzegu kolumny, żeby zbierać po drodze niedopałki. Od dworca do więzienia było dziesięć minut drogi. Było to jakieś małe więzienie, w którym przebywaliśmy tylko do następnego dnia rano. Siedzieliśmy tam jak małpy w klatkach, bo cele były maleńkie, pojedyncze, a ściany między nimi, jak i ściany szczytowe, były z gęstej siatki. Była to po prostu wielka sala, na środku której była olbrzymia klatka z drobnej siatki, tak że dozorczy mieli nas zawsze na oczach, a my też siebie widzieliśmy i mogliśmy sobie przekazywać niedopałki, papierosy, zapalniczki, a także rozmawiać ze sobą.

Muszę nadmienić, że Jugosłowianin, Paweł, który był odstawiany do swej granicy, nie był więźniem, więc jako taki miał prawo kupować sobie oficjalnie papierosy oraz wszystko, co sobie tylko życzył, a co tylko można było kupić w normalnej sprzedaży. Ponieważ miał on do mnie jakiś szczególny sentyment, dał mi sporo papierosów i zapalek z pouczeniem, że papieros to w więzieniu ciężkie pieniądze, za które można kupić nie tylko jedzenie, ale i różne ulgi. Ja w tym czasie byłem niepalący, a znów nie potrafiłem trzymać tych papierosów diabli wiedzą jak długo, bo żał mi było tych, którzy palili, a nie mieli co palić, więc od czasu do czasu wyciągałem papierosa i zapalniczkę, i puszczałem w obieg dla palących. Dobrze tak się stało, bo po przybyciu do obozu zabrano nam wszystko, zostawiając tylko pasek od spodni i chusteczkę do nosa.

Incydent, o którym już wspomniałem, nie był nawet incydentem, dlatego że nie doszedł do skutku, ale chęci do wykonania nie brakowało.

Gdy nas wprowadzono do więzienia, zauważyłem, że wszystko tu

jakoś inaczej wygląda niż w innych, solidnych więzieniach. Od ulicy był niewysoki mur, a przez furtkę, w której siedział jeden wartownik, wchodziło się na podwórze. W budynku więziennym, piętnaście metrów od furtki, były drzwi bezpośrednio do kancelarii, do której naszą ósemkę wprowadzono. Dozorca, który nas przyprowadził, wyszedł, zostawiając na stole papiery naszego transportu. Przyjmował nas stary jakiś dziadek, który pytał nas kolejno o nasze personalia. Przed nim na stole leżał olbrzymi pistolet, który można byłoby opanować, gdyby tylko przechylić się trochę mocniej przez barierkę. W pewnym momencie zapisujący nas dziadek wyszedł do drugiego pokoju... i w tym momencie błyskawiczna myśl: z tyłu drzwi otwarte, ten dziad tylko jeden w pomieszczeniu, piętnaście metrów do wyjścia, my w cywilnych ubraniach i jeden dozorca siedzący przy furtce, który nie spodziewa się, że ktoś mógłby coś podobnego zrobić.

Pisanie trwa długo, ale myśl przebiegła błyskawicznie. Okazało się, że Willi myślał tak samo. Obydwaj machnęliśmy się do bariery... i w tym momencie wszedł dozorca. Zamarliśmy w miejscu, tak że dozorca nic nie spostrzegł, natomiast inni więźniowie, którzy byli z nami w kancelarii, połapali się, co chcieliśmy zrobić, i wieczorem w naszych klatkach długo trwała dyskusja między Niemcami na ten temat.

Jazda moja pomaleńku zbliżała się do końca. Następnego dnia nocleg mieliśmy w Monachium. Po dniu spędzonym w pociągu – wieczorem, bez żadnych przygód, jak zwykle złączeni kajdankami, przy akompaniamencie wymyślających i grożących nam pięściami bab, zbierając po drodze niedopałki, znaleźliśmy się w więzieniu w Monachium.

Do więzienia przyprowadzono nas około czterdziestu osób, w tym większość Niemców. Było też kilku Czechów oraz kilku Polaków. Niemcy – to przestępcy pospolici, którzy po odsiedzeniu wyroków w więzieniach kierowani byli do obozu koncentracyjnego na izolację, a właściwie na wykończenie – tak jak wszyscy inni. Czesi i Polacy – to ludzie, których

albo złapano przy przechodzeniu granicy, tacy, którzy przymusowo byli wywiezieni na roboty do Niemiec i nieraz już po kilku dniach uciekali do domu, albo też ludzie, którzy często dobrowolnie jechali na roboty i tu popadali w jakiś konflikt z władzami lub gospodarzem. W godzinę po przybyciu naszego transportu wprowadzono jeszcze około dwudziestu osób, które zostały przywiezione następnym transportem.

Razem w jednej olbrzymiej celi było nas przeszło sześćdziesiąt osób. Wkręciłem się między ludzi drugiego transportu, a drogę do ludzi otwierały mi zebrane po drodze niedopałki i ostatnie papierosy otrzymane od Jugosłowianina, o którym wspomniałem. Tu zawarłem znajomość z dwiema osobami. Byli to: osiemnastoletni Henio B. z Krakowa i Ślązak imieniem Willi, którego nazwisko już zapomniałem. Był on porucznikiem Wojska Polskiego, a w późniejszym okresie, już w Gusen, niesławnie zapisał się w pamięci przez znęcanie się nad ludźmi jako starszy nad sprzętacami sztuby. W stosunku do mnie był zawsze w porządku, z tytułu naszej starej znajomości, lecz słyszałem, sam widziałem, a on też nie wstydził się i mówił, że musi bić ludzi, bo inaczej nic z nimi zrobić nie można.

Heniek B. przetrwał w obozie do końca i tak się nam życie ułożyło, że osoba jego będzie bardzo często przewijać się w moim opowiadaniu.

Cela, w której nas ulokowano, była olbrzymią salą, wokół której stały prycze, a w jednym rogu wybudowana była mała kabina, co do przeznaczenia której łatwo było się zorientować po zapachach snujących się po całej sali.

Ja, jak zwykle ciekawy wszystkiego, co się wokół dzieje, zacząłem krążyć po pryczach i odczytywać napisy, którymi były zamazane całe ściany. Prócz napisów były też różne pomysłowe rysunki. Między innymi był narysowany były polski minister spraw zagranicznych Beck, który z wywieszonym językiem, z plecakiem na plecach, nachylony do przodu, mocno wysuwa nogi przed siebie, mija drogowskaz „Warszawa–Bukareszt” z wypisaną ilością

kilometrów. Nie potrafiłem sobie odmówić przyjemności uwiecznienia się na ścianie i przy ustępie napisałem taki wierszyk, ciekawy i właściwy z powodu miejsca, w którym go napisałem, w którym poruszyłem i Wilhelma, i Hitlera, i wszystkie niemieckie dzieci. Datę napisałem uczciwie, zgodnie z prawdą, nie podpisałem się jednak nazwiskiem, a napisałem tylko „warszawiak”.

Wieczorem, po zjedzeniu kolacji, przyniesiono do celi sienniki, na których mieliśmy spać po dwie osoby na jednym sienniku. Ponieważ w celi było więcej osób, niż mogły pomieścić prycze ustawione wokół sali, kilka sienników rozłożono na podłodze. Sienników wydano tylko tyle, ile było potrzeba, licząc jeden siennik na dwie osoby; stało się to przyczyną awantury.

Ja z B. ulokowaliśmy się na jednym sienniku. Leżeliśmy w ubraniach, bo nic nam nie dali do przykrycia, i rozmawialiśmy o swoich przeżyciach od aresztowania do chwili obecnej. Przerwaliśmy rozmowę, bo na środku sali powstał mały raban, który zwrócił uwagę wszystkich.

Między innymi Polakami był jeden młody chłopak zabrany za jakieś przewinienie u bauera. Był to chłopak słabo rozwinięty umysłowo i mocno głuchy. Został on bez miejsca do spania, bo na sienniku, na którym jeszcze było jedno miejsce, leżał jakiś Niemiec i nie chciał go wpuścić. Co ten chłopak chce się położyć, to tamten coś wymyśliła mu po niemiecku i kopie go. Ten znów stanął nad siennikiem i płacze jak dzieciak.

Popatrzyłem kilka chwil, no i... zagniewało mnie – więc wołam:

– Kopnij go parę razy i kładź się. Zwał bydlaka na podłogę i kładź się sam. Czego ryczysz, bydlaku? Kładź się.

Gdy chciał się w odpowiedzi na moje wołanie położyć, ten znów kopnął chłopaka, popierając to wymyślaniem.

Nie wytrzymałem. Zeskoczyłem z pryczy, jakby mnie kto z armaty wystrzelił, i od razu znalazłem się przy sienniku. Złapałem chłopaka

za głowę i chciałem go położyć. Niemiec znów zaczął majtać nogami.

Puściłem chłopaka, a sam wziąłem się za Niemca. Złapałem za kołnierz, zwlokłem z siennika, zacząłem kopać po bokach i brzuchu, żeby nie było śladów, i rzuciłem go na innych leżących na podłodze. Następnie chłopaka wsadziłem na siennik i zapowiedziałem mu, że jak teraz wpuści tamtego bydlaka na siennik, to dla odmiany jemu wleję.

Wtedy dopiero zauważyłem, że na sali jest szum. Każdy coś gada, a Niemcy wykrzykują też coś pod moim adresem. Wściekły, zatrzymałem się przed pryczą i wyzywająco zapytałem, czy może któremu coś się nie podoba? Niech lepiej uważa, bo i on może oberwać. Mówiłem to po polsku, bo niemieckiego nie znałem.

Położyłem się na pryczę. Niemiec pomaleńku podszedł do siennika i położył się cichutko. Chłopak nic mu nie mówił, a że ja też już trochę oprzytomniałem, to też nic nie mówiłem, bo mogłem oberwać od więźniów niemieckich albo od dozorców.

Noc przeszła spokojnie, jeśli nie liczyć tego, że niesamowicie gryzły nas pchły. W więzieniach etapowych było czysto i bez robactwa, a tu rąbały bez litości, a jak jaką złapałem i zabiłem, to miałem wrażenie, że do każdej zabitej sto innych pcheł przychodziło na pogrzeb i jeszcze bardziej gryzły, jak gdyby chciały się odegrać za zabitą towarzyszkę.